1924 R. MARZEC. № 4. (28).

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI I ŁOWIECTWO POLSKIE

ZJEDNOCZONY DWUTYGODNIK ŁOWIECKI

WARSZAWA — POZNAŃ

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak i Józef Gieysztor.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 w poniedziałki w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3a.

Redakcja i Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.

Numer pojed.—**750.000** mk. Prenumerata kwartalna (z odsył. do domu)—**4 miljony** mk.; Konto czekowe w P. K. O. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona—**40 złp.;** 1/2 str.— **25 złp.;** 1/4 str. **15 złp.;** 1/8 str.—**8 złp.;** 1/16 **5 złp.**



Bielak. *Wł. Korsak.*

Na drodze ku lepszemu.

„Skarga zwierzyny" złożona w Min. Rolnictwa (o której pisałem w ostatniej bajce myśliwskiej) nie przebrzmiała widocznie bez echa.

Ministerstwo rolnictwa zrobiło pierwszy krok na drodze prowadzącej do naprawy rozpaczliwych naszych stosunków łowieckich. Krokiem tym jest uchwała Rady Ministrów zezwalająca p. Ministrowi Rolnictwa na zmianę terminów ochronnych na obszarze całej Rzeczypospolitej. Wpłynie to niewątpliwie na pewne unormowanie stosunków i ujednostajnienie przepisów obowiązujących. Z radością witamy powyższą uchwałę wyrażając pragnienie, aby po niej nastąpiły dalsze, aż do przeprowadzenia i zatwierdzenia Ustawy łowieckiej.

Pan Minister Janicki działa energicznie i pożytecznie. Dawszy podwalinę przepisom łowieckim przeprowadził (również w tych dniach) zmiany w przestarzałej ustawie rybackiej.

„Skarga ryb" nie miała miejsca, jako, że ryby głosu nie mają, Ministerstwo działało więc samorzutnie. Zmiany polegają na ogólnych poprawkach dotyczących nomenklatury w „ustawie o rybołówstwie z 31 paźdz. 1887 r. dla Kr. Galicji i Lodomerji z W. Ks, Krakowskim" oraz na szczegółowych zmianach, dotyczących czynszu dzierżawnego, pozwoleń na łowienie ryb, (kart i książeczek rybackich) oraz przepisów mówiących nam kto i kiedy winien posiadać przy sobie kartę lub książeczkę rybacką. Zmiany te podamy szczegółowo w przyszłym numerze naszego pisma w dziale rybołówstwa.

Tymczasem zaznaczamy jeszcze raz iż dzięki inicjatywie p. Ministra Rolnictwa stosunki łowieckie i rybackie znajdują się u nas na drodze ku lepszemu.

Juljan Ejsmond.

Udział strzelców polskich w VIII Olimpjadzie.

Ilość zgłaszających się strzelców polskich do VIII Olimpjady jest dotąd niedostateczna i z niej niemożliwym jest uczynić wybór kwalifikujących się do udziału. Przedłużamy przeto termin zgłoszeń do 15 marca b. r. i upraszamy jeszcze raz ze względu na znaczenie jakie ma udział nasz w tym międzynarodowym turnieju o bezzwłoczne a jaknajliczniejsze nadesłanie zgłoszeń.

Strzelanie myśliwskie odbędzie się, jak wiadomo w dniach 21—29 czerwca b. r. i to w dwuch rodzajach 1. do jelenia w biegu (dystans 100 metr. kaliber dowolny, strzał pojedyńczy i dubeltowy), 2. do rzutków glinianych (dystans 15 metr. kaliber do dwunastki, waga śrutu do 36 gramów). Każdy naród wysyła 4 uczestników i dwuch zastępców.

Zaszczytnie znany w kołach sportowych publicysta prof. Wacek ze Lwowa ogłosił w pismach następującą odezwę:

„Udział strzelców naszych w zawodach olimpijskich jest konieczny. Nas nie może braknąć tam, gdzie będą reprezentowane wszystkie narody świata. Sąsiedzi nasi już się zorganizowali: Rumunja wysyła 14 strzelców, wre praca w Czechosłowacji, Węgrzech, Jugosławji, będą strzelcy kanadyjscy, angielscy, szwajcarscy i wielu innych, to też i nas tam braknąć nie może. Jest to kwestja naszego honoru, naszej dumy narodowej, naszego prestige państwowego. I tu odezwa Pol. Związku Myśliwych w Poznaniu musi znaleźć oddźwięk w społeczeństwie, muszą na nią odpowiedzieć setkami myśliwi i stowarzyszenia myśliwskie, nasze obywatelstwo i nasi strzelcy. Zignorowanie tej sprawy wystawiłoby nam świadectwo ubóstwa, zrównałoby nas z Buszmanami i Hotentotami i bardzo ujemnie oddziałałoby to nawet na nasze stosunki międzynarodowe — słowem — byłaby to nasza kompromitacja".

Do tak przekonywujących słów, trudno byłoby dodać coś więcej.

Polski Związek Myśliwych
Wł. Janta-Połczyński,
Członek Komitetu Igrzysk Olimpijskich.
10.II 1924. Poznań, Wały Leszczyńskiego 48.

Jeszcze słowo o łowiectwie w lasach rządowych.

W sprawie łowiectwa w lasach rządowych nie mogę w zupełności zgodzić się z treścią artykułu p. J. Szeligi Łańcuckiego w numerze 3-im „Przeglądu myśliwskiego".

Szanowny autor twierdzi za p. dr. W. Burzyńskim, iż dzierżawy polowania w lasach rządowych nie przynoszą państwu żadnych, względnie tylko znikome korzyści i nie są z korzyścią dla zwierzostanu. Przeto też proponuje, by powiaty podzielić na rewiry, któreby stały pod nadzorem „*łowczego*", mającego na swe potrzeby „*konia*", a łowczy ten „miałby kontrolować prawo posiadania broni" i „miałby baczyć na prawidłowość polowania i t. p. Znaczy to tyle, co stworzyć nowy urząd — mianować setki nowej kategorji urzędników państwowych t. zw. łowczych i ponosić olbrzymie koszty na płacę i wydatki na

utrzymanie koni. Na takie powiększenie budżetu państwowego rząd obecnie zdobyć się nie może. Kraj nasz ugina się pod ciężarem wydatków na różne urzędy — które i tak wobec zaprowadzonych oszczędności w wydatkach częścią się znosi, częścią personel urzędniczy w nich się redukuje. Sądzę, że ten urząd jest zbyteczny. U nas w Małopolsce nadzór nad łowiectwem wykonują starostwa i województwa, dalej delegaci Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego i policja państwowa. Ta ostatnia kontroluje posiadaczy broni, czy posiadają karty, dwa pierwsze urzędy nadzorują gospodarkę łowiecką—w okręgach samoistnych Spółek łowieckich zatwierdzają dzierżawy polowań, względnie odbierają prawo polowania lub też zamykają na pewien okres czasu polowanie naogół lub na pewien rodzaj zwierzyny. Czynniki te nie obciążają skarbu państwa specjalnemi wysiłkami ani nie wymagają specjalnych urzędników. Poznałem w roku bieżącym we wschodniej Małopolsce pewien rewir rządowy podgórski, który nie był wydzierżawiony. Zarząd polował tam zeszłej jesieni 9 razy z psami i naganką. Wiele zwierzyny ubito, nie wiem — ale faktem jest, że z końcem stycznia przez dwa dni pobytu mego w tym rewirze nie widziałem ani jednego tropu sarniego, a zauważyłem tylko jeden stary, zawiany już śniegiem trop zabłąkanego zająca, który pokluczył potokiem i jeden stary trop lisa. Zresztą: „*tabula rasa*". A takich i tym podobnych rewirów niewydzierżawionych lub pozostających we własnej administracji rządowej na obszarze Rzeczypospolitej musi być więcej.

Idźmy dalej w kwestji polowania. Kto w takich przez rząd gospodarowanych, jak szanowny autor radzi, ruinach, będzie brał w polowaniach udział? Czy sam tylko personel urzędniczy, lasowy i łowiecki? Czy również i zaproszeni (przez kogo?) goście? Jacy? Czy będą to zawsze dobrzy myśliwi, mający dobrą broń i amunicję, nie kaleczący zwierzyny, zachowujący się poprawnie? A przecież takich tylko zaprasza dobry gospodarz myśliwy na swe polowanie.

Państwo, rząd, czy urząd, jako osoba prawna, a nie fizyczna, ani duszy, ani ideału, ani umiłowania przyrody i łowiectwa — jaką ma prawdziwy myśliwy, mieć nie może. A tylko taki knieją zajmować się winien i dlatego twierdzę, że polowania w lasach rządowych, wyłącznie i jedynie z tych i wyżej wyłuszczonych powodów, winny być wydzierżawione i to tylko, i wyłącznie w ręce znanych i wytrawnych myśliwych, którzyby dawali gwarancję racjonalnej gospodarki łowieckiej. Następnie oddawanie polowań w dzierżawę nie powinno odbywać się na mocy ofert najwyżej ofiarującym, *ale najlepiej gospodarującym*, a o takich nie trudno, gdyż dobrych myśliwych, którzy nie poskąpią grosza, mamy, dzięki Bogu, dosyć, i ci są powszechnie znani, a gdy nie będzie konkurencji „*nouveau riche'ów*" sypiących dolarami, chętnie i licznie do konkursu staną.

Do materjalnej korzyści z polowania ani dobry myśliwy, ani dzierżawca, ani właściciel, choćby nim był rząd, pretensji mieć nie powinien. Gdyby łowiectwo było interesem, dawno byliby już wzięli je w swoje ręce żydzi. Pasja myśliwska jest nałogiem — a nałogowiec nie pyta o koszta — lecz wykłada pieniądze, byle zadośćuczynić swej przyjemności. I tak robi każdy dobry myśliwy. By na wszelki przypadek rząd ochronić się mógł przed dewastacją zwierzyny przez dzierżawców w swoich posiadłościach, winien kontrakty tak formułować, aby w razie nadużycia mógł każdej chwili kontrakt zerwać, a nawet winnego do odpowiedzialności i odszkodowania pociągnąć. O zyskach z polowania niech ani rząd ani dzierżawca nie myśli, gdyż na tem ucierpi tylko zwierzostan.

A teraz, co do straży łowieckiej i używania przez nią broni i psów.

Nie ulega wątpliwości, że straży łowieckiej nie wolno na własną rękę ani z psami, ani bez psów polować. Polowanie to równałoby się kłusownictwu, a czy to zarząd lasów państwowych, czy dzierżawca nie powinien na to pozwalać lecz i przestępstwa surowo karać. — Co się broni tyczy, to byłbym przeciwnego, jak Szanowny Autor, zdania. Pozostawiłbym straży łowieckiej broń długą, a to z kilku powodów. Pierwszym jest—tępienie szkodników, którego można dokonać jedynie zapomocą broni długiej. Czy to ubicie wałęsających się psów i kotów, czy ubicie jastrzębia lub innego skrzydlatego szkodnika—czy też wkońcu ubicie spotkanego wilka, żbika czy rysia — jedynie ze strzelby nastąpić może. Drugą ważną kwestją jest obrona straży przed spotkanym kłusownikiem, który zaopatrzony jest zawsze w broń długą. Straż łowiecka nie może być przecież gorzej uzbrojona niż kłusownik, inaczej nie mogłaby go skutecznie ścigać i z nim się zmierzyć, a przeciwnie, będąc gorzej uzbrojoną, spotkania z kłusownikiem chętnieby unikała. Cała kwestja polegałaby na doborze straży leśnej, ludzi uczciwych, pewnych i służbistych, którzyby z broni palnej dla własnej korzyści użytku nie czynili. A rzeczą właściciela czy dzierżawcy polowania jest nadzór, aby strażnicy, nadużywający swej strzelby dla polowania i własnej korzyści, przykładnie byli ukarani lub ze służby wydalani. O kontrolę taką nie trudno. Prędzej czy później często samo szydło z worka wylezie.

W Małopolsce polowania rządowe dzierżawią osoby prywatne i bogate Towarzystwa myśliwskie bez uszczerbku dla zwierzostanu, który ucierpiał jedynie z powodu klęsk elementarnych, następstw wojny i zbytniego rozmnożenia się drapieżników (wilków). Są to najbogatsze w zwierzostan rewiry.

Rząd niechaj będzie tylko dobrym ustawodawcą, stróżem prawa i sprawiedliwym sędzią, zaś gospodarzami niechaj będą dobrzy myśliwi — a wtedy nie będzie obawy o upadek łowiectwa w Polsce nawet w lasach państwowych.

Dr. Henryk Malsburg.

Gródek Jagielloński, 10 lutego 1924 r.

Zwierzyniec K. Hagenbeka pod Hamburgiem.

Jednym z najsławniejszych i najlepiej urządzonych, a zarazem największych zwierzyńców, posiadających okazy rzadkich i najlepiej przyswojonych zwierząt jest dziś zoologiczny ogród K. Hagenbeka w Stellingenie pod Hamburgiem, niegdyś słynnego handlarza i dostawcy do światowych zwierzyńców, cyrków i muzeów zwierzyny. Syn podrzędnego hamburskiego handlarza rybami i zwierzyną Karol H. od najmłodszych lat okazywał wielkie zamiłowanie do zwierząt i umiejętność obchodzenia się z niemi. Swą karjerę zaczął od wychowania białych szczurów, a gdy ojcu jego rybacy przywieźli kilka fok żywych, malec zajął się ich wychowaniem i tresurą i w bardzo krótkim czasie doprowadził ją tak daleko, że na zawołanie przypełzały i z ręki jego brały pokarm. Zachęciło to starego H. do wystawienia ich na rynku Hamburskim: nie brakło ciekawych gapiów i handlarz otrzymywał za ich pokaz dość na te czasy korzystne zyski. Zachęcony łatwym zarobkiem stary H. cały swój kapitał i pracę poświęcił na powiększenie swego zwierzyńca przez zakup białego niedźwiadka przez polarną ekspedycję do Hamburga przywiezionego, kilku fok grenlandzkich, paru małp i papug afrykańskich.

Jakkolwiek obwożenie dość już zasobnego zwierzyńca po kraju zapewniało znaczne zyski, ustawiczne podróże i trudy nadwyrężyły zdrowie starego H., i odtąd 15 letni Karol robi się właścicielem zwierzyńca i 2000 talarów, wręczonych mu przez ojca na dalsze prowadzenie tak dobrze zapowiadającego się interesu. W 1860 r. młodego K. widzimy już jako znanego, zamożnego handlarza i dostawcę Berlińskich i Drezdeńskich zoolog. ogrodów poważnych partji dzikich zwierząt. W tym okresie niezwykły traf zbliżył Hagenbeka z inspektorem zwierzyńców Berlińskich Scholzem i Petersem. Gdy Scholze wyładowywał w Hamburskim porcie dużą partję tylko co przybyłych z Afryki zwierząt, jeden z najdzikszych słoni porwał swe więzy, odrzucił jak piłki poza siebie strzegących go ludzi i zbiegł za miasto. Zrozpaczony Scholze udał się do Hagenbeka o pomoc. Odważny pogromca nie odmówił jej— dopędził zbiega i zdołał go uhamować i oddać właścicielowi. Wkrótce potem wywdzięczył mu się Petersen: zawiadomił go o sprzedawanym w Londynie zwierzyńcu wdowy Renz i dopomógł mu korzystnie go nabyć, z czego otrzymał kilkanaście funtów szterlingów zysku. Poturbowanie młodego handlarza przez syberyjskiego niedźwiedzia, jak również przez mrówkojada nie mogło już ostudzić zapału pogromcy do dalszego rozwoju przedsiębiorstwa. Drobny handel zwierzyną, nieznaczne dostawy jej dla innych przedsiębiorstw nie mogły już zadowolnić energicznej i śmiałej natury, H. przedsiębierze pierwszą wyprawę do Wiednia w 1866 r., gdzie podróżnik Casanova oczekuje go z partją zamówionej zwierzyny, złowionej w Sudanie. Tu zakupuje cały jego zbiór słoni, lwów, strusi, papug i małp, na czem zarabia kolosalną sumę. Nie obeszło się jednak bez wypadku. Oto gdy oddzielono najstarszego słonia i poprowadzono go w odległą ulicę — by go dostawić do Schönbrunn—pozostali jego towarzysze w wagonach spostrzegłszy nieobecność swego prowodyra zatrąbili jednogłośnie na alarm. Na ten odgłos roztrącił swych stróżów olbrzym, jak burza przebiegł ulice Wiednia i znalazł się obok swych rodaków. Musiano wyprowadzić całe stado z wagonów i w jego towarzystwie przeprowadzić krnąbrnego prowodyra do Schönbrunn. W 1870 r. pogromca i handlarz Migoletti, konkurent L. Casanovy zawiadamia Hagenbeka o przybyciu do Suezkiego portu wielkiej partji zwierzyny. Pierwszym odchodzącym parowcem H. podąża do Sueskiego portu, gdzie za pośrednictwem austryjackiego konsula zakupuje cały transport od wdowy po Casanovie.

(D. c. n.). *Wł. Czerniejewski.*

Porady dotyczące broni i amunicji.

Z bardzo dawnych czasów przedwojennych, szerokiemu kołu myśliwych naszego kraju, znane są bronie belgijskiej fabryki, pod firmą Anclens Etablissement Pieper i pospolicie przez tychże myśliwych nazywane „Pieperki“ lub „Pieperówki“.

Otóż Pieperówki, które same siebie wprowadziły i zareklamowały przez solidne zawsze wykończenie, w stosunku do wysokości ceny i dziś zasługują na specjalną uwagę, gdyż fabryka stale dba o wszelkie techniczne nowości, które natychmiast do wyrobu swych broni stosuje.

Fabryka, która była własnością inżyniera M. H. Piepera pioniera branży broniowej, przez tegoż właściciela w roku 1866 została jako jedna z pierwszych przekształcona przez wprowadzenie nowych maszyn, na wyrabiającą broni całkowicie mechanicznym sposobem.

Po wprowadzeniu tej inowacji, wyroby fabryki wstępnym bojem zdobyły sobie wszechświatową reputację.

W roku 1898 fabryka przeszła na spółkę akcyjną i zaczęła wyrabiać również rowery i automobile, lecz wkrótce drugi ten dział zarzuciła, poświęcając się wyłącznie fabrykacji broni myśliwskiej śrutowej, flowerów oraz automatycznych rewolwerów.

Wojna światowa wstrzymała na krótki przeciąg czasu działalność fabryki, lecz po wojnie, jak zarząd tak również fachowe siły techniczne ukonstytuowały się wyłącznie z miejscowych sił belgijskich i z całą energją znaną u belgów w dalszym ciągu fabrykację prowadzą.

Z wyrobów fabryki znane są bronie kurkowe, z lufami ze stali Bayard systemu „Demi-Blok" to znaczy że każda pojedyncza lufa wraz z połową haka, wykuta jest z jednego kawała stali.

Jest to system bardzo dobry, gdyż wykluczone jest oderwanie się haków, co ma miejsce przy innych tanich gatunkach broni.

Każda broń fabryki Piepera wypróbowana jest w państwowej probierni w Belgji na wytrzymałość prochem bezdymnym o czym świadczą stęple tejże probierni na lufach oraz baskili każdej broni.

Po za broniami kurkowemi fabryka wyrabia również bezkurkowe, stosując również jak i u kurkowych system „Demi-Blok" oraz specjalne swego systemu patentowane zamknięcie.

W roku bieżącym idąc za postępem, fabryka wypuściła nowy typ broni bezkurkowych z bocznemi zamkami daleko prościej skonstruowanymi, a co zatem idzie daleko tańszych, tak że przy dzisiejszym kursie franka belgijskiego można mieć broń bezkurkową tej fabryki za cenę nie wiele wyższą od 200 000.000 mk.

S. C.

CIETRZEW.

(*d. c.*).

Pierwszorzędne lotki mają białe żeberka, poza tem są szaro-brunatne, upstrzone na zewnętrznych połowach mnóstwem małych, zygzakowatych plamek białawych i rdzawo-żółtawych. Białe nasady i końce drugorzędnych lotek tworzą, jak i u koguta, dwa białe poprzeczne pasy, zdala widoczne na rozłożonem skrzydle; przy złożonem — widoczny jest tylko jeden pasek i to na szerokość najwyżej 6 mm. Lotki są od spodu jasno-szare w centki i paski szaro-rdzawe. Podbicie skrzydeł śnieżno-białe, przy złożonem skrzydle widoczne nazewnątrz, jako mała biała plamka z pod ramienia. Ogon i jego pokrywy są czarne z rdzawemi, zygzakowatemi poprzecznemi linjami i paskami, nie sięgającemi jednak końca, gdzie tworzy się przez to pas czarny, zakończony znów jeszcze jaśniejszym, białawo - rudym, upstrzonym czarno paskiem.

Starsze kury mają takie same upierzenie, jednak nieco ciemniejsze z wyraźniejszym rysunkiem i wyraźniejszą czerwoną brwią.

Ogólnie zatem upierzenie cieciorki określić można, jako rdzawo-brunatne z białem podbiciem skrzydeł i paskami na skrzydłach, o wiele mniej znacznemi, niż u koguta

Pierzenie się cietrzewi ma miejsce latem. Rozpoczynają je koguty zaraz po skończonym toku — około połowy czerwca, Ma ono u nich przebieg dość gwałtowny, tak, że niektóre sztuki przez tydzień mniej więcej nie mogą wcale latać z powodu utraty większości lotek. W tym samym czasie pierzą się też kury jałowe, stare niepłodne, albo też te, którym popsuto gniazdo i zniszczono lęg. Pierzenie się jest ostatecznie ukończone dopiero na koniec września. Kury-matki pierzą się wolniej, nieznacznie i nigdy nie tracą możności latania.

* * *

Ruchy cietrzewia są bardzo zgrabne i harmonijne. Jak każda kura, biega on świetnie, szybko i wytrwale. Chodząc wolno, ma postać skurczoną, szyję wciągniętą i przy każdym kroku robi charakterystyczny dla wszystkich kur ruch głową i szyją — naprzemian naprzód i wstecz.

Biegnąc prędzej, wyciąga nieco szyję i trzyma ją poziomo. Kroki wogóle daje duże, zwłaszcza w biegu, wyjątek stanowi krótki krok tokowy, gdzie nawet szybko biegnąc, ptak drobi. Ruchy szyi i głowy są zawsze nagłe i szybkie, poczem ptak zastyga w pozie nieruchomej.

Lot jest szybki i wytrwały. Porywając się, cietrzew bije mocno skrzydłami i sprawia głośny łoskot, który daje się daleko słyszeć. W przyziemnej gęstwinie porywa się wprost do góry, jeżeli jednak miejscowość jest taka, że ptak może odrazu lecieć dołem, to zrywa się nisko i nad wyraz zręcznie lawiruje między drzewami i krzakami. Przy porywaniu się bije skrzydłami bez przerwy, później jednak, nabrawszy pędu, leci bardzo równo i charakterystyczną cechą jego lotu, tak jak i innych naszych kur, jest to, że nie porusza równo i stale skrzydłami; ale po paru sekundach silnego uderzenia, płynie również przez parę sekund na rozpostartych bez ruchu skrzydłach, i zmiana ta następuje stale w równych po sobie odstępach. Mając skrzydła stosunkowo krótkie, a wagę ciała dość znaczną, musi cietrzew usilnie pracować skrzydłami, aby się w powietrzu utrzymać, to też ruch ich jest tak szybki, że oko nie może go ułowić. Muskuły piersiowe są też z tej racji wyjątkowo silnie rozwinięte i wydatne.

Mogąc się utrzymać z łatwością na wodzie, cietrzew nie pływa jednak nigdy dobrowolnie, a tylko postrzelony, gdy wpadnie do wody, posuwa się dość szybko ku brzegowi, przebierając mocnemi nogami.

Z usposobienia jest cietrzew ptakiem wielce towarzyskim i spokojnym, nie zdarza się też widzieć kłótni lub bijatyki o pożywienie, lub miejsce noclegu. Nawet stare koguty po za czasem tokowym są dość łagodne i okazują skłonność do życia towarzyskiego już latem, pod koniec pierzenia, zbierając się po kilka lub kilkanaście na niewielkiej przestrzeni.

W czasie toku usposobienie koguta zmienia się zasadniczo. Robi się on zawadjacki i czupurny, szuka spotkania z towarzyszami jedynie dla walki, poza tem trzyma się samotnie, zdala od innych. W tym czasie zdarza się też, że postrzelony i łapany, broni się przed człowiekiem zajadle i mocno bije dziobem. Kury są usposobienia łagodnego przez cały rok i nie bronią się nigdy.

Głos cietrzewia jest dość urozmaicony. Małe pisklę piszczy cieniutko, trochę podobnie do kurczęcia. Potem młode, już w pierwszem pierzu, zwabiając się, wydają gwizd wysoki, podwójny, który można

odtworzyć literami „ti-ü“, przechodzący w „dzi-ü“ później, gdy ptaki zaczną „farbować“, czyli zmieniać ostatecznie upierzenie na dorosłe.

Zasadniczym głosem kury jest kwokanie, bardzo rozmaite i coraz to inaczej modulowane. Przy porywaniu się, zestraszone, kwokają krótko i urywanie, najwyżej kilka razy, poza tem wydają lekkie gardłowe kwokanie, siadając albo zmieniając pozycję. Tokowy głos kury jest bardzo śpieszne, wysokie kwokanie, brzmiące, niby szybko powtarzana litera „e“, wymawiana przez nos. Odlatując z toku do gniazda, cieciorka kwoka w czasie lotu, zakończając szereg urywanych dźwięków niższem stęknięciem, co razem przypomina nieco gdakanie niosącej się kury domowej. Matka stada kwoka w miejscu ustronnem i spokojnem bardzo często, rozmawiając z dziećmi i kierując niemi. Zestraszona, porywa się z głośnem, dość niskiem kwokaniem i tym samym głosem zwołuje potem rozpierzchłe stadko.

Głos koguta jest bardziej rozmaity. Porywając się, wydaje też coś nakształt kwokania, ale innego, niż kura, zbliżonego raczej do jakiegoś śmiechu. Siadając lub chodząc, wydaje miękki głos gardlany, podobny do głosu cieciorki. W jesieni, zimą i na wiosnę słychać też jego „tukanie“. Jest to odgłos wyraźny, niby zgłoska „tuk“, ale gardlany, a nawet jakby brzuszny, wewnętrzny, który słyszeć się daje dość daleko przy cichej pogodzie.

Głos tokowy składa się z dwóch zasadniczych dźwięków, które opisane będą dalej, tam gdzie będzie mowa o tokach. Poza tem, rozgniewany lub niespokojny, wydaje jeszcze kogut daleko słyszalny głos, brzmiący niby „m-kekrrrr“ albo „krokotokarrrr“. Głos ten słychać czasem w środku toku i wówczas, mam wrażenie, służy do oczyszczenia gardła, zachrypniętego od zajadłego tokowania.

Pożywienie cietrzewi jest przeważnie roślinne. Przez zimę żywią się pączkami drzew liściastych, głównie brzóz i olch, a w braku tych, buków, leszczyny, osiny, zrzadka wierzby. Oskubują też zielone i czarne jagody jałowcowe. Na wiosnę zjadają malutkie listki tych-że drzew, a także zaczynają skubać na ziemi świeże pędy traw i roślin. Później, gdy ożyją owady, cietrzewie, prócz młodych pędów roślin i świeżych kwiatów żywią się różnemi owadami, zaczynając od najmniejszych gąsienic i meszek, a kończąc na chrabąszczach i innych wielkich żukach. Latem w sezonie jagód karmią się przeważnie temi ostatniemi. Jedzą więc poziomki i borówki-brusznice, czarne jagody czyli czernice, pijanice, czyli łochynie, kościanki, maliny i jeżyny, a na mchach wörońce (Empetrum nigrum) i mącznice. Ku jesieni jedzą wszelkie ziarno, dzikie i uprawne, a więc nasiona wszystkich traw, ziół i drzew (nasiona z szyszek sosnowych), a na polach owies, tatarkę, groch, wykę, len i t. p. Później jesienią, a także wiosną jedzą na mszarach żórawiny, zimujące pod śniegiem, a niekiedy łebki mchów-torfowców.

Jak wszystkie kury, łykają też cietrzewie małe kamyczki i ziarnka piasku.

Nie lubiąc wilgoci i unikając jej za wszelką cenę, cietrzewie nie kąpią się też nigdy w wodzie, często natomiast używają w godzinach południowych kąpieli w piasku i suchej ziemi, kopiąc okrągłe dołki, grzebiąc się w piasku, jak kury, i przesiewając go ruchem skrzydeł i nóg prez pierze.

(D. c. n.). *Włodzimierz Korsak.*

O żubrach w Puszczy Białowieskiej.

W numerze 17 naszego pisma Pan Janta Połczyński poruszył sprawę „ostatniego z rodu olbrzymów“, t. j. żubra i projektu zaprowadzenia znowu tego pięknego zwierza w starej jego siedzibie — Puszczy Białowieskiej.

Nie będę, jako mniej kompetentny, poruszał sprawy finansowania, sprowadzania t. j. transportu żubrów do Polski, natomiast chciałbym mówić o innej rzeczy, a tą jest niemożliwość wykonania z pomyślnym skutkiem owego projektu, dla przyczyn następujących.

Nie wiem, czy Szanowny Autor, mówiąc o sprowadzeniu żubrów do Puszczy myślał o sztucznej ich hodowli w zamkniętym, ogrodzonym zwierzyńcu, czy broń Boże, chciałby ostatnie już na kuli ziemskiej sztuki skazać na swobodę ruchów po całej Puszczy, a co za tem idzie i na niechybną śmierć z rąk kłusowników.

Obecne stosunki puszczańskie pod żadnym pozorem nie pozwalają myśleć o sprowadzeniu żubrów.

Ośmielę się twierdzić, iż byłoby to wielką lekkomyślnością wszystkich tych, którzy wskazówkami pośredniemi lub pracą przyczyniliby się do urzeczywistnienia owego projektu.

Zapewne, — wiele przyczyn składało się na to, że tak jest, jak jest, ale w tych warunkach jakie są obecnie w puszczy, żubr się nie utrzyma.

Przedewszystkiem, pominąwszy już doniosłą sprawę żubra, należy zreorganizować i zreformować zupełnie cały system gospodarki łowieckiej na tym terenie.

Ktokolwiek zna lasy Białowieży, ich rozległość, częściowo niedostępność i ten charakterystyczny układ, jaki posiada tylko i wyłącznie Puszcza, komu nie są obcy ludzcy jej mieszkańcy, ten wie, że tak gospodarować jak my to robimy, nie można.

A przecież to są polowania reprezentacyjne Prezydenta Rzeczypospolitej.

Skarb Państwa, podług mnie, rządzi się w tym wypadku b. nieekonomicznie.

Etaty administracji i służby łowieckiej są za szczupłe, aby mogły sprostać zadaniu.

Najlepszy łowczy i najbardziej nawet sumienni strzelcy, ze względów przytoczonych, nie mogą, bo nie są w stanie wykonać należycie swej pracy.

Dla utrzymania należytego porządku w gospodarstwie łowieckim Białowieży niezbędna jest znacznie większa ilość pracowników, którymi nie mogą być pierwsi lepsi, tu i ówdzie ustosunkowani ludzie,

ale to musi być znakomicie zebrany, dobrany, odpowiednio wyuczony i wyćwiczony, jak to się mówi twardą ręką prowadzony zespół.

Przedewszystkiem, aby praca pana łowczego wydała odpowiednie plony, musi on mieć znacznie większe pełnomocnictwa i musi rozporządzać o wiele większemi środkami pod każdym względem.

Jak można wymagać, aby ochrona zwierzyny nie pozostawiała nic do życzenia, skoro zdaje mi się, jeden pieszy strzelec przypada na nadleśnictwo.

To są obszary.

Każdy kwartał ma wiorstę kwadratową, a tych kwartałów jest z górą tysiąc. Nadleśnictw jest pięć, a więc na tysiąc wiorst (nie kilometrów) przypada 5 strzelców.

A choćby i przypadało ich nawet 10, to chyba liczba znikoma w stosunku do przestrzeni lasu.

Na takie obszary, aby należycie pracować, trzeba przynajmniej jednego konnego, starszego i dwuch pieszych, młodszych strzeclów.

Ma się rozumieć, że proporcjonalny podział pracy powinien być normowany nie wielkością danego nadleśnictwa, ale jakością rewirów łownych, terenem bardziej lub mniej obfitującym w zwierzynę.

Kłusownictwo w Puszczy jest daleko więcej rozwinięte niż gdzieindziej.

Nic w tem dziwnego.

Chłop, który z dziada—pradziada dziedziczy tę „żyłkę myśliwską“ pod rygorem nawet b. wielkich kar, nie wyrzeknie się jej, tembardziej, jeśli raz przekonał się, że owe prawo nie jest poparte należycie siłą.

A siły tej dla ukrócenia bezprawia, w obecnych warunkach, powiadam, najzdolniejszy nawet łowczy, dać nie może.

Dla scharakteryzowania owego puszczańskiego chłopa-kłusownika mogę przytoczyć choćby to, że kiedy za czasów carskich wyszło rozporządzenie, że wioski mają prawo na swoich terenach bić zwierzynę, wyrządzającą szkody w polach „chołodnym orużjem“, t. j. białą bronią, ówczesny łowczy musiał rozkaz ten cofnąć, gdyż chłopi tępili masowo jelenie, sarny, a przeważnie dziki żerujące w nocy.

Między „kosynierami“, „siekiernikami“ i t. p. rodzajem oręża byli i tacy śmiałkowie, którzy nie obawiali się kłóć dziki bagnetem, trzymanym w ręku (wieś Lipiny).

A byli i tacy odważni, którzy podejmowali się dostarczyć żubra w całości aż do Białegostoku i próbowali śmiałe te zamiary wykonywać.

Niepamiętam dokładnie i dlatego nie podaję nazwiska pewnego włościanina, który zabił żubra w celu dostarczenia go do Białegostoku i załadowanego pod sianem przywiózł już prawie do samego miasta, ale zdradzony przez zazdrosnego sąsiada został wykryty, sądzony i skazany na Sybir.

Walka więc z takiemi „charakterami“ miejscowych kłusowników nie jest łatwa, tembardziej, że polują zwykle po 5—6 razem.

Niemcy wychodząc pozostawili około 250 żubrów, — ilość ta wystarczyła zaledwie na jeden sezon 1918—1919 r.

Łosie zniknęły również zupełnie z Puszczy, a jelenie, daniele i sarny zostały zdziesiątkowane.

Jedynie stan dzików, jako zwierzyny ostrożnej i czujnej, a nadewszystko silnie się rozmnażającej, jest niezły.

Nie opieram swych wywodów na statystyce, ale sądzę, że praktyczniej rzecz biorąc, nie jestem w błędzie.

Wszystkie niniejsze uwagi pochodzą z własnej obserwacji, z tego co mogłem sam zauważyć i porównać, a właściwie starać się o porównanie ze zwierzostanem przedwojennym Puszczy, który nie był mi obcy.

Gdybym był do tego upoważniony, chętnie podjąłbym się opracowania szczegółowego planu sanacji stosunków łowieckich i postawienia ich na wysokości zadania.

Żadne gospodarstwo nie może przynieść jednak dochodów, jeżeli niema odpowiednich nakładów, a pół i ćwierć środki mogą tylko przedłużyć nędzną jego wegetację, której koniec, jak w tym wypadku, jest b. niedaleki.

Tymczasem zaś ośmielam się prosić sfery miarodajne o to, aby zechciały dokładnie zastanowić się nad takim ważnym krokiem, jak sprowadzenie niedobitków-żubrów do Białowieskiej Puszczy.

Jerzy Dylewski.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy).

IV.

Nazajutrz puściliśmy się w drogę wcześnie, chcąc przed nocą dojechać do Gandżura, dokąd pozostało jeszcze około 60 wiorst.

Zaledwie ujechaliśmy parę wiorst, kiedy Ładygin zawołał: „wilk!“ Istotnie, o kroków 150 od nas drobnym truchtem dążyło stepem olbrzymie wilczysko. Zanim jednak zeskoczyliśmy z koni i złapali za strzelby rudy zbój był już daleko. Posłaliśmy mu parę kul na drogę, co zmusiło go tylko do przyśpieszenie biegu. Był to zapewne jeden z tego stada, które wczoraj dawało znać o sobie wyciem.

Na popas południowy zatrzymaliśmy się koło koczowiska mongołów, zmieniającego właśnie miejsce swego czasowego pobytu w poszukiwaniu nowych pastwisk. Szereg dwukołowych lekkich wózków załadowany był rozebranemi jurtami i sprzętami gospodarstwa domowego, obok pasły się konie i bydło, strzeżone przez konnego pastucha, kobiety w nausznicach z dużych blach miedzianych krzątały się koło ognisk, warząc strawę, a mężowie i bracia siedzieli wkoło, pykając w milczeniu długie fajki o grubych kamiennych munsztukach.

Popas trwał krótko, gdyż należało się spieszyć, zwłaszcza, że nadciągała duża chmura.

W rzeczy samej, zanim zdążyliśmy dosiąść koni, począł deszcz padać. Towarzyszył on nam przez cały czas krążenia wśród wzgórz piaszczystych, któremi urozmaicony był tu step, i przeszedł wreszcie w ulewę.

Perspektywa spędzenia nocy na deszczu nie uśmiechała się nam, to też przystałem chętnie na propozycję przewodnika — zboczenia nieco z drogi i poszukania gościnności u lamów, zamieszkałych przy pobliskiej świątyni Jengej-sume.

W niespełna godzinę kawalkada nasza stanęła przed grupą zabudowań murowanych, dziwnie wyglądających w szczerym stepie. Na spotkanie nasze na próg domku, stojącego poza murem, otaczającym świątynię, wyszedł stary lama z ogoloną głową i po krótkiej rozmowie prowadzonej ku jego zdumieniu biegle po mongolsku przez „orosa"—rosjanina, ofiarował nam gościnne schronisko na noc.

Żołnierze otrzymali jurtę z wojłoków, a nas zaprosił gospodarz do swego mieszkania, opróżnionego z powodu wyjazdu reszty lamów do Gańdżura. Mieszkanie składało się z dwu izb, z których jedna—bez okna — miała tylko drzwi, druga zaś posiadała w górze małe okienko wyklejone przetłuszczonym papierem, zamiast szkła. Sciany były otynkowane, podłogę stanowiła dobrze ubita polepa z gliny.

W pierwszej izbie urządzone było palenisko z cegieł z wmurowanym kociołkiem, w kącie leżała kupa wojłoków do spania, kilka siodeł i kadź z wodą. W drugiej izbie, którą gospodarz oddał nam do użytku, połowę izby zajmował „kan" — rodzaj przymurku, pokrytego wojłokami, a zastępującego zarówno tapczan do spania, jak i stół i stołki, których to zabytków cywilizacji mongoł nie uznaje.

Pókiśmy się przebierali zrzucając zmokłą odzież, uprzejmy gospodarz zajął się zagotowaniem wody w kociołku na herbatę. Tymczasem wyrostek 15-letni także lama, tylko w nowicjacie rozłożył w pośrodku naszej izby spore ognisko, z orgału, którego duży zapas leżał przed domem.

Wraz z ciepłem izbę zaczął wypełniać gryzący dym, przed którym chroniliśmy się narazie, kładąc się pokotem na kanie. Kiedy i to nie pomogło, otworzyliśmy okienko, i wyrzekając się ciepła, zabroniliśmy młodzieńcowi dokładać argału do ogniska.

Natomiast zapaliliśmy świecę i rozłożywszy nasze zapasy zaprosiliśmy gospodarzy na ucztę. Obaj lamowie odpowiedzieli godnie temu zaproszeniu i w końcu rozochocony starszy lama uraczył nas muzyką na skrzypcach. Skrzypce takie składają się z rodzaju bębenka, obciągniętego skórą węża, i długiej rękojeści o dwu strunach pomiędzy któremi przeciągnięto włosie smyka. Dźwięk skrzypiec przypominał zgrzyt noża po talerzu, ale do monotonnego śpiewu lamy stanowił uzupełnienie odpowiednie.

Po nocy dżdżystej nastąpił śliczny poranek. Kiedyśmy wyszli z izby, step zalany był słońcem, a rzeźkie powietrze jesienne było tak przezroczyste, że wzrok rozróżniał najdrobniejsze szczegóły dalekiego przestworza.

Poszliśmy obejrzeć świątynię. Świątynia z szarej polskiej cegły, z wygiętym dachem, była otoczona murem z trzema bramami, których główna, jak zwykle od strony południa, stanowiła rodzaj domku-poczekalni. Przed główną bramą stały dwa wysokie, na czerwono pomalowane słupy ze złoconemi gałkami i zwykły murek, mający bronić przystępu do świątyni złym duchom, które, na szczęście, mogą się posuwać tylko po linji prostej.

Wnętrze świątyni, do której prowadził mały ganeczek o kilku stopniach, składało się z dwóch części, z właściwei modlitewni, podzielonej słupami drewnianemi, na których spoczywał sufit, na trzy nawy, i z rodzaju sanctuarium, gdzie na ołtarzu ustawione były „burchany"—posążki Buddy wielkości i kształtu rozmaitego. Równie rozmaitym był i materjał, z którego wykonano posążki. Główny burchan zrobiony był z drzewa malowanego i przedstawiał Buddę przyklękającego na jedno kolano z podniesioną prawą ręką i z wywieszonym językiem. Inne burchany z kamienia, z gliny, nawet z ciasta, wyobrażały Buddę albo łagodnego — „amorlingoj", albo rozgniewanego — „doksit", w najrozmaitszych pozach, niezawsze skromnych. Wedle nauki bowiem twórców lamoizmu Budda podlegał wielokrotnym przeobrażeniom, oglądano go przeto w najrozmaiszej postaci.

W nawach ustawione były ławki dla lamów, pokryte czerwonym perkalem, a koło ścian stały przybory do nabożeństw w postaci dzwonków, długich trąb i kotłów.

Opodal świątyni, na małem wzgórzu, znajdowało się nadto „obo" poświęcone duchowi stepów, czyli pęk suchych gałęzi, wstawionych w ziemię i otoczonych ogrodzeniem, z wysokim w środku słupem ze złoconą gałką.

Pożegnawszy gościnnego gospodarza, ruszyliśmy w dalszą drogę. Step, w miarę zbliżania się ku Gańdżurwi, zmieniał swój charakter, przybierając coraz bardziej cechy mongolskiej pustyni Gobi, trawa stawała się rzadszą, piaski czystsze, częściej również występowały glininste łysiny, pokryte wykwitem soli.

W związku z tą zmianą charakteru miejscowości szło ukazanie się dwóch gatunków gryzoniów, właściwych Mongolji środkowej, mianowicie skoczka (Dipus sagitta) oraz piszczyka (Lagomys ogotona), koło nor którego stały już przygotowane na zimę wysokie stożki siana.

Po pewnym przeciągu jazdy dość szybkiej, ujrzeliśmy przed sobą karawanę wielbłądów i kilku jeźdźców na koniach, otaczających wózek mongolski. Był to znakomity lama z Urgi, udający się również na jarmark do Gańdżura. Karawana była już w drodze od kilku tygodni, ale nie znać na niej było zupełnie zmęczenia, co się tłómaczy tem zapewne, że warunki życia domowego mało się różnią od warunków, w jakich pozostaje mongoł w drodze.

Zawiązaliśmy rozmowę z lamą, ale nie sposób jej były prowadzić z powodu naszych wierzchowców, które baty się zbliżyć do wielbłądów, chrapały i stawały dęba.

Było to tem dziwniejsze, że konie były mongolskie, więc miały zapewne sposobność stykania się i oswojenia z powszechnemi tu wielbłądami. Widocznie musiały się one odzwyczaić od widoku tych osobliwych bądź co bądź stworzeń podczas pobytu w szeregach wojskowych. *J. Gieysztor.*

(D. c. n.)

DZIK.

(*Dalszy ciąg*).

Pułkownik patrzył przez chwilę z dziwnym niepokojem na jadącego, naraz poruszył się gwałtownie i machnął ręką jak szablą.

— Niechże cię jasny piorun trzaśnie!

Rzuciwszy gromowładną klątwę, opadł ciężko na siedzenie i zmienionym głosem dodał:

— Stakanczyk...

Niespodziewana ta wiadomość nie wywarła na towarzyszach pułkownika takiego wrażenia, jak na nim samym. Dziedzic pomyślał sobie, że ostatecznie każdego dobrego wodza inny zdolny wódz zastąpić może: gorzelany wróci do domu z rewizorem, a rządca polowanie poprowadzi, Grzmotnicki zaś rad był nawet z tej sytuacji, zaliczał bowiem siebie do ludzi stworzonych tylko do rozkazywania innym.

Pułkownik chwilę odsapnął i rzekł z rezygnacją:

— Polowanie moje licho wzięło—trudno—dacie sobie panowie radę i bezemnie, ale jakim sposobem djabeł go z tej strony przyniósł panie dzieju?

W tej chwili bryczka z rozpędem podjechała do wolantu. Wstrzymano wzajemnie konie.

Całe siedzenie na bryce wypełniała tęga figura w opończy, a z pod białego kaptura wyglądał tylko daszek urzędowej czapki, pomidorowy nos i czarna broda pana rewizora.

Iwan Gilarjewicz był widocznie w doskonałym humorze. Nim jeszcze zatrzymano konie już wołał z bryczki:

— Moje uszanowanie! Jakże rad wstrieczy! Moje uszanowanie panu dziedzicowi, panu administratoru i panu Romualdu — jakże rad. Na dzika panowie? Na ochotu? Sławno, bo ja także samo ochotnik ogromny!

Wygramolił się z bryczki z pośpiechem, na jaki mu tusza pozwalała, i podszedł witać siedzących w powozie, z którego pułkownik zdążył już wysiąść z zamiarem towarzyszenia rewizorowi w jego urzędowej misji.

— Pan rewizor do Lubaradza do gorzelni?

— Nu tak do Lubaradza no mnie do gorzelni nie pilno — jaby z panami wołał na tego dzika — jeśli nie odkażecie choć popatrzeć.

Dziedzic rozumiał dobrze, jakie odmowa mogłaby skutki pociągnąć i jak dla władz skarbowych trzeba być uprzejmym, więc z całą kurtuazją oświadczył swoje zadowolenie z „pożądanego“ gościa, zaprosił rewizora do swego pojazdu, gdzie go po krótkiej certacji z prawej strony obok posadził, Grzmotnicki z panem Romualdem zasiedli na przedniem siedzeniu, bryczka została odesłana do folwarku i myśliwi ruszyli w dalszą drogę.

— Jakim to cudem pan rewizor znalazł się w tej stronie na polnej drodze? — spytał pułkownik już nieco udobruchany nowym obrotem rzeczy, choć niezbyt rad z towarzystwa „Stakanczyka“, które w wypowiadaniu tego, co myślał, wielce go krępowało.

— Przedstawcie sobie panowie, że ja się wczoraj znalazł w sąsiednim powiecie — było tam dzieło służbowe, ale potem popadł na wieczór do pana Jackowskiego w Jackach — sławny człowiek, choć w winta gra nieosobliwie. Było parę osób i tam właśnie ja się dowiedział, że dziś pan dziedzic na dzika poluje.

Pułkownik aż się przeżegnał.

— Fama stugębna do kroćset! — Już w drugim powiecie wiedzą!

— Wiedzą sąsiedzi... Tak tedy prosił ja pana Jackowskiego o konie i raniutko, wypiwszy tylko stakanczyk czaju, zdążył do panów w porę na owego kabana.

— Pan rewizor zapewne polował na dziki? — spytał od niechcenia dziedzic.

— Czy ja polował? Ależ ja w Smolenskoj gubernji jak służył, to wciąż na niedźwiedzie i kabany polował Ileż ja tego nabił—Hospodi! A dziki to moja na ochocie specjalność. Pamiętam raz sławne polowanie było u grafa Makalinskawo. Ogromne lasy i rzeka tam przepływała, nie pomnę już jak się zwała. Był na tem polowaniu gubernator z żonką, było dwóch generałów, jeden tajnyj i czterech rzeczywistych statskich sowietników i wiele innych wojennych i graždanskich czynów. Stanowiska nasze były ot tak — po tej stronie rzeki, a nagonszczyki szli po tamtej stronie i kabany z lasu do rzeki pędzili. To była mądra kombinacja, proszę panów — dziki najlepiej w wodzie strzelać: płynie równo, spokojnie, możesz dobrze przycelić i dać nawet parę salw do niego. Moje stanowisko wypadło jakoś w centrze naganki, a przedemną na rzece był niewielki ostrów i tam właśnie zasiadł gubernator z żonką i Piotrem Pawłowiczem gwardyjskim poruczykom. Ot, myślę—skwierno—z przed nosa będą mi zabierać i rzeczywiście zabił gubernator jednego czy dwa mniejsze dziczki, które do ostrowa płynęły, aż tu patrzę, płyną dwie ogromne sztuki mimo tej wyspy. Gubernator wali do nich raz po raz, strzeliła i jego małżonka, strzelił Piotr Pawłowicz, każdy promachnuł, a one idą wprost na mnie. Przodem płynie wielki stary kaban, a za nim jego dama...

— Maciora poprawił Grzmotnicki.

— Nu „maciora“ eto nieładne i nieeleganckie wyrażenie, a ja jestem zawsze z pełnem uważaniem dla płci nadobnej, jakiegoby gatunku nie była. Tak tedy płynie za nim owa jego dama, bo wiadomo przecie, że jak się dama zakocha w jakim zdrowym kabanie, to za nim i przez morze popłynie, a ja stoję sobie o kilkanaście kroków od wody i czekam.

— Iwan Gilarjewicz—krzyczy z ostrowa gubernator — strelaj!

— Jeszcze rano—wasze 'stwo! — odpowiadam i zapalam spokojnie papieroskę.

(D. c. n.) *Jan Szczepkowski.*

Niezwykły zakątek ziemi polskiej.

(*Dokończenie*)

Po godzinie wytrwałego wiosłowania dotarliśmy do celu. Przywiązaliśmy łodzie do wystających z jeziora drzew i wysiedliśmy. Tu pan Jan pokazał nam resztki z szałasu i wykopane doły w których się chronił z kolegami 4 lata temu w przeciągu kilku miesięcy. Rozdzieliliśmy się znowu na dwie grupy i poszliśmy w głąb zarośli. Zwierzyny trafiało się dużo — przeważnie pardwy i cietrzewie, nie było jeszcze południa gdy pasy z nabojami okazały się puste. Byliśmy zatem zmuszeni powrócić do łódek. Niejednokrotnie wyżły stawały jeszcze do nowej zwierzyny, lecz już nie było czem strzelać. Wzięliśmy więc psy na linkę i milcząc, w skwarze słońca, które zaczęło dopiekać, z pełnemi torbami wracaliśmy do jeziora. Pan Jan z majorem uważali iż za wcześnie jest wracać do domu i zajęli się połowem ryb, my zaś z kolegą byliśmy głodni i szybko wiosłując wracaliśmy. Mieliśmy okazję zaobserwować ładne zjawisko przyrody. Byliśmy mniej więcej w połowie drogi, gdy nadeszła czarna chmura i wkrótce pozostała za nami część jeziora, jego brzegi i lasy zginęły w szarawej mgle ulewnego deszczu. W naszej zaś części jeziora deszczu nie było i świeciło słońce. Granica ulewy pozostawała jakie pół kilometra za nami i wyraźnie była widoczną na wodzie, lecz wobec tego iż wiatr zupełnie ustał, nie posuwała się dalej. Trwało to jakiś kwadrans, poczem chmura się rozwiała. Ujrzeliśmy pospiesznie wracających naszych kolegów. Poczekaliśmy aż nas dogonią. Byli przemoczeni do nitki. Łódkę mieli pełną wody. Oczom swoim wierzyć nie chcieli ujrzawszy żeśmy nie zmokli. Przekonałem się iż czasami można mieć więcej szczęścia niż rozumu. Następnego dnia pojechaliśmy w najbardziej odległy koniec jeziora, a stamtąd przeszliśmy jeszcze trzy kilometry bagnem do wysepki na której miało być dużo pardw. Droga była nadzwyczaj uciążliwą: niejednokrotnie zapadaliśmy się powyżej pasa w bagnie. Zostaliśmy jednakowoż suto wynagrodzeni, bo nie będzie to myśliwską przesadą, jeżeli powiem, iż na tej wyspie było kilka setek pardw. Porywały się one z przed nosa wyżłów całemi stadami, łopocząc i lśniąc w słońcu białemi jak śnieg skrzydłami.

Niezważając na to iż tym razem wzięliśmy ze sobą podwójną ilość naboi po upływie kilku godzin strzały ucichły, z powodu braku amunicji. „Strzelali panowie jak na wojnie. Myślałem czy to tylko czasem nie bolszewicy na panów napadli“ opowiadał potem stary Szypiłło. Gdy wracaliśmy z powrotem jeziorem, mieliśmy dość przykre zdarzenie, które się o mały włos nie skończyło tragicznie. Zapomniałem wymienić, iż na bagnie i na jego wysepkach rośnie niezliczona ilość najrozmaitszych jagód.

Dostatecznie jest raz się nachylić by zerwać ich całą garść. Rosną tam obficie borówki, żórawiny, czernice i tak zwane pijanice (inaczej łochinie). Są to największe z rosnących tam jagód, podobne są do czernic lecz znacznie większe od nich. Rosną obficie całemi gronami, tak iż najłatwiej jest je zerwać. Nie daremnie jednak noszą swoją nazwę, gdyż w dużej ilości działają trująco. Otóż jeden z uczestników naszej wycieczki, gasząc pragnienie zjadł widocznie zbyt dużo tych smacznych winogron bagna. Siedząc w łódce niespodziewanie zemdlał i wpadł do wody w najgłębszym miejscu jeziora. Na szyi miał zawieszoną strzelbę, która go odrazu pociągnęła na dół. Na szczęście zahaczył się końcem buta o bórt łodzi i dzięki przytomności umysłu pana Jana, został niebawem wyciągnięty na powierzchnię razem ze strzelbą. Skończyło się wszystko na strachu, ale mało brakowało ażeby się skończyło gorzej. Po powrocie spożyliśmy suty obiad z części wczorajszej zwierzyny, który nam bardzo smacznie sporządziła staruszka, żona Szypiłły. Wieczorem zajęliśmy się połowem ryb.

Spędziliśmy jeszcze dwa dni na tych odludnych mchach. Zwiedziliśmy tak zwane Białe Jezioro, położone o trzy kilometry w bok ou leśniczówki. Oprócz pardw i cietrzewi natrafiliśmy tam jeszcze na głuszce. W niektórych miejscach mech, był tak zarośnięty żórawinami, iż w śladzie nóg pozostawał czerwony ich sok. Rzeczywistość tu prawie że dorównała bajkom o mlecznych krainach z miodowemi rzekami. Nad Białym Jeziorem padły też ostatnie nasze strzały.

Amunicji zabrakło ostatecznie. Wystrzelaliśmy nawet loftki jakie mieliśmy ze sobą. Musieliśmy rozpocząć ostateczny odwrót. Na domiar złego całe niebo zachmurzyło się i zaczął padać deszcz. Powróciliśmy więc do Leśniczówki i zaczęliśmy zwijać nasz obóz w szopie z sianem, która przez tyle nocy służyła nam za przytułek. Rzeczy spakowaliśmy do plecaków. Zwierzynę, której nabrało się około trzech pudów, złożyliśmy do pustego worka od kartofli. Miał go dźwigać specjalnie wynajęty włościanin ze wsi. Pożegnaliśmy serdecznie naszych gospodarzy i puściliśmy się w odwrotną stronę idąc brzegiem rzeczułki Jelenki, wypływającej z dużego jeziora.

O ile chodzenie po mchach podczas polowania było już uciążliwe i męczące o tyle ten odwrót dobił nas ostatecznie. Mieliśmy przed sobą 7 kilometrów drogi, przejście której wymagało bezwarunkowo zdolności akrobatycznych. Niezliczoną ilość razy byliśmy zmuszeni z jednego brzegu Jelenki przechodzić po przerzuconych ślizkich drągach na drugi jej brzeg, wyszukując w taki sposób najtwardszego gruntu. Nie jeden z nas się w tych okolicznościach wykąpał. Nogi z powodu sterczących wszędzie korzeni i karczy musieliśmy zadzierać niemożliwie wysoko. Co kilka kroków noga zapadała, powyżej kolana w jakąś bezdenną dziurę a deszcz jak na złość lał okropny. Wiele razy się wywróciłem — nie pamiętam. Wiem, tylko tyle, iż pod koniec zrezygnowałem ze wszystkiego. Wpadałem do dziur, zawadzałem o korzenie i padałem twarzą naprzód w bagno, przyczem ciężki plecak i strzelba przygniatały mnie niemiłosiernie. Wstawałem i niezważając na bijące po twarzy mokre gałęzie szedłem dalej, póki

nie padłem znowu w jakąś dziurę. I tak działo się z każdym z nas. Już nikt na nikogo uwagi nie zwracał, każdy brnął przed siebie mając na myśli tylko jeden cel — wydostać się z tego piekła i stanąć na twardym gruncie. Nakoniec dotarliśmy do wsi Szuty i wyszliśmy z bagna. Poczuliśmy trwardy grunt pod nogami i humor nam powrócił. Spojrzeliśmy po sobie i roześmieliśmy się — wyglądaliśmy jak prawdziwe strachy na wróble. Zauważyłem wtenczas, iż w jednym bucie brakowało mi obcasa w drugim podeszwy.

„Trzeba być warjatem, ażeby puszczać się na takie wycieczki" — wyrwało mi się mimowoli. „Nie, nie warjatem — lecz trzeba być prawdziwym myśliwym", odparł pan Jan. Musieliśmy przyznać iż ma rację.

Następnego dnia pożegnaliśmy gościnny staropolski dom pana Jana Kulikowskiego i bez przeszkód dotarliśmy do stacji Ziabki, a po upływie 24 godzin zamigotały przed nami ognie stolicy Polski.

Dr. Feliks Hłasko.

Kronika myśliwska.

Z ziemi Bialskiej.

Bialskie Kółko Prawidłowego polowania i ochrony zwierzyny łownej polowało w ubiegłym sezonie:

24/XII 23 r. na terenach pól mieszczańskich miasta Białej oraz na terenach wsi Cicibór i Rakowiska, piękna mroźna i śnieżna pogoda, strzelb 30, rozkład 65 zajęcy.

13/I 24 r. na terenach wsi Połoski, pogoda piękna, lekki mróz i średnia pokrywa śnieżna, strzelb 19 na rozkładzie 40 zajęcy.

23/I 24 r. na terenach wsi Sidorki, strzelb 10, pogoda fatalna, b. silny mróz przy wietrze północnym, na rozkładzie 15 zajęcy.

27 i 28/I 24 r. na terenach wsi Liszna i Jabłeczna w dwóch miotach leśnych i kiku kociołkach przy pięknej słonecznej pogodzie (mróz słaby) strzelb 16, rozkład 2 lisy i 75 zajęcy.

Ponadto w powiecie naszym odbyły się 2 polowania, o których, ze względu na rozkład, wspomnieć należy.

Dnia 17/I 24 r. na terenach leśnictwa Kłodzkiego przy pięknej pogodzie w dziesięć strzelb ubito 1 lisa, 2 dziki, 15 zajęcy i 2 psy kłusujące. Król polowania miał na rozkładzie 2 dziki i zająca. Były i pudła do dzików lecz o nich lepiej nie wspominać.

Dnia 19/I 24 r. polowano w 9 strzelb u pana Drabińskiego, członka kółka, w Leśnej i Bukowiaki; strzelb 9, pogoda ładna, rozkład 38 zajęcy, 1 cietrzew i 1 jastrząb gołębiarz.

Wroczyński, prezes.

Kółko Łowieckie „Jeleń" w Warszawie, w sezonie ubiegłym urządziło 2 zbiorowe polowania na terenach własnych w Czeremsze, a mianowicie:

Dnia 9 grudnia r. ub. w 12 strzelb ubito 35 zajęcy, 1 cietrzewia. Królem polowania był p. inżynier Tietz (gość), mając na razkładzie 5 zajęcy i 1 cietrzewia.

Dnia 20 stycznia r. b. w 8 strzelb ubito 22 zajęcy, królem polowania był p. Bronisław Jakubowski, mając na rozkładzie 4 zające.

Skromne wyniki polowania należy przypisać głównie wybiciu zwierzyny przez kłusowników, rekrutujących się przeważnie z miejscowych kolejarzy.

Gospodarz i Łowczy *Bolesław Krysiński.*

Z Wielkopolski.

W dniu 20 listopada odbyło się polowanie w Ordynacji Taczanów pow. pleszewski. Ośmiu myśliwych ubiło 350 zajęcy, 6 bażantów, 22 króliki, ogółem 378 sztuk, opolowano 800 hektarów pola i 20-to morgowy zagajnik. Królem polowania był p. Hrabia Janusz Czarnecki, mając 85 sztuk na rozkładzie.

Drugi raz polowano w lesie i opolowano z tego ca 1000 morgowego, ubito 100 zajęcy. Królem był p. Hrabia Ostroróg-Górzeński, ubiwszy 27 zajęcy. Ogółem strzelb było pięć.

Jan Taczanowski.

W dniu 1 lutego b. r. polowano w okolicy Osieczna na dziki, 2 sztuki położył dubletem p. T. Radomski, łowczy starogradzkiego Klubu Myśl. Odwilż utrudniała bardzo tropienie, wobec czego rezultat mały.

J. Żarnowski.

W dniu 15 stycznia r. b. odbyło się polowanie w państwowem nadleśnictwie Cierpiszewo, pow. Inowrocław w 8 strzelb. Na rozkładzie 13 zajęcy i 1 lis, królem był p. Franciszek Cholewiński, państwowy leśniczy z Niedźwiadków.

Z ziemi Lubelskiej.

W dniu 27 stycznia r. b. odbyło się polowanie wyłącznie na dziki, na terenach lasów państwowych w Nadleśnictwie Parczew w obrębach Smolarz i Altana, dzierżawionych przez Lubelskie Towarzystwo Łowieckie, na którym w 14 strzelb zabito: 2 dziki: jednego zabił p. B. Karpiłowicz, drugiego p. Gumowski.

W dniu 10 lutego b. r. na tych samych terenach tegoż Towarzystwa odbyło się polowanie, na którym w 12 strzelb ubito 3 piękne odyńce z tego jednego ubił p. S. A. Kucharski, drugiego p. Kotyłło a trzeciego strzelec Towarzystwa.

Kucharski.

U p. Mieczysława Mazurkiewicza w m. Niedrznica (z. Lubelskiej) w dn. 11 lutego r. b. ubił tryppletem p. Gustaw Mazurkiewicz z Dębnicy trzy dziki.

Wyniki polowań w sezonie 1923/24 r. na terenach Lasów Państwowych Nadleśnictwa Skierniewice, pozostającem pod kierunkiem nadleśniczego, P. K. Bielańskiego.

Dnia 5-go listopada w leśnictwie Lipce na przestrzeni 500 ha w 13 strzelb ubito 19 zajęcy, 4 króliki i 1 lisa.

Dnia 6-go listopada w leśnictwie Pszczonów na przestrzeni 300 ha w 10 strzelb ubito 1 kozła, 34 zające, 1 kuropatwę i 2 słonki.

Dnia 17-go listopada w leśnictwie Ruda na przestrzeni 450 ha w 8 strzelb ubito 9 zajęcy, 2 króliki, 1 kuropatwę, 2 kaczki i 1 lisa.

Dnia 28-go listopada w leśnictwie Mokra na przestrzeni 400 ha w 9 strzelb ubito 56 zajęcy i 1 królika. Królem polowania został p. Strakacz Władysław ze Strobowa mając na rozkładzie 11 zajęcy.

Dnia 15-go grudnia w leśnictwie Mokra na przestrzeni 800 ha w 11 strzelb ubito 28 zajęcy i 1 królika.

Dnia 19-go grudnia w leśnictwie Rudą na przestrzeni 450 ha w 13 strzelb ubito 20 zajęcy.

Dnia 31-go grudnia w leśnictwie Puszcza Marjańska na przestrzeni 300 ha w 10 strzelb ubito 8 zajęcy.

Dnia 9-go stycznia w leśnictwie Puszcza Marjańska na przestrzeni 600 ha w 12 strzelb ubito 12 zajęcy.

Dnia 19-go stycznia w leśnictwie Mokra na przestrzeni 750 ha w 19 strzelb ubito 55 zajęcy. Królem polowania był p. Włodzimierz Korsak, mając na rozkładzie 8 zajęcy.

Dnia 26-go i 28-go stycznia w leśnictwach Mokra i Puszcza Marjańska na przestrzeni 1250 ha w 9 strzelb ubito 38 zajęcy i 12 królików.

Na wszystkich polowaniach brano przeciętnie po 25—30 naganki.

Ogółem więc w sezonie 1923/24 r. na 11 polowaniach na przestrzeni 3750 ha ubito: 1 kozła, 279 zajęcy, 20 królików, 2 kuropatwy, 2 słonki, 2 kaczki i 2 lisy.

Zaś w sezonie poprzednim (1922/3) na tej samej przestzeni przy 7 polowaniach ubito: 1 kozła, 72 zające, i 3 króliki.

Z powyższego zestawienia widać znaczną poprawę zwierzostanu pomimo częstych wypadków kłusownictwa, na szerzenie którego pośrednio wpływa niedość wysoki wymiar kar, stosowanych przez sądy.

W leśnictwach Ruda i Puszcza Marjańska w tym roku pokazały się dziki, którym jednak dotychczas udawało się uchodzić bezkarnie.

K. Bielański, Nadleśniczy Nadleśn. Skierniewice

Dnia 29 stycznia r. b. odbyło się polowanie w 13 strzelb na terenie majątku Kurowo pow. Wysoko-Mazowieck, wielkość obszaru około 1500 mórg, właściciel majątku Franciszek Kołodziejski. Na rozkładzie 61 zajęcy. Polowanie prowadzono wzorowo i sprężyście.

Z ziemi Radomskiej.

W Żaciskach 19.1 w 17 strzelb zabito 46 zajęcy i 1 lisa. Królem polowania był p. Zdzitowiecki. We Wrzeszczowie na polowaniu w dniu 22.I w 18 strzelb zabito 27 zajęcy, królem był p. Kąsinowski.

Z ziemi Kaliskiej.

Dnia 3 listopada odbyło się polowanie z naganką w lesie pana Adama Krzyżanowskiego, majątku Prusinowice pow. Sieradz, w 5 strzelb na obszarze 400 ha, ubito 20 zajęcy, 12 królików, 2 bażanty, 1 cietrzewia, 1 lisa. Królem polowania został p. Purzynowski z Kalisza, miał na rozkładzie 8 zajęcy, króliki i 1 lisa. Stan zajęcy w lesie dobry, zajęcy uszło bez strzału $^3/_4$.

Na polowaniu w tym samym majątku w polu, w 12 strzelb ubito 26 zajęcy; zajęcy było dosyć dużo lecz z powodu wielkiego śniegu uszło dużo bez strzału. Stan kuropatw jest dotychczas u nas bardzo dobry. Królem polowania został p. Purzynowski z Kalinowy miał na rozkładzie 7 zajęcy.

W czasie ostatnich dwu lat zabiłem nast. drapieżniki: 28 lisów, 30 włóczących się kotów, 29 psów, 4 tchórze, 15 jastrzębi, 6 czapli. Lisy łapałem w żelaza ponieważ trucia lisów nie pochwalam.

Ellmann, leśniczy.

Dnia 23 i 24 stycznia odbyło się polowanie u p. R. Kwasiborskiego w Wilczarach na gruntach własnych i dzierżawionych, ogółem 50 włók. Strzelb 17, padło 276 zajęcy 2 króliki. Królem polowania był p. Władysław Wolski, bijąc z 34 strzałów 29 zajęcy i 2 króliki. Po polowaniu p. Kwasiborski podejmował uczestników we dworze Wilczarskim z niezwykłą gościnnością, tak że na długo pozostanie w pamięci miłe wspomnienie.

Leon Sieduchowski.

Z ziemi Warszawskiej.

W dniu 31.I r. b. odbyło się polowanie na części terenów, należących do Wareckiego Towarz. Łowieckiego, we wsiach Piasecznie i Michalczew. W osiem strzelb zabito 36 zajęcy, mimo to jednak rezultat jest bardzo skromnym, ponieważ w dn. 24.XII r. z. podczas lustracji zwierzostanu na samym terenie Piaseczna widziano moc zajęcy, których naliczono zgórą 100 sztuk oraz kilka wielkich stad kuropatw. Wielkie śniegi sprzyjają tępieniu zwierzyny, która z braku pożywienia podchodzi do zabudowań gospodarskich i stert gdzie na nią czychają kłusownicy. Nic też dziwnego, że zwierzostan w naszych stronach w ostatnich czasach nader podupadł. Kłusownictwo się przez to bardzo rozwielmożniło. Nietylko kłusownicy tępią zwierzynę, lecz co gorsze chłopi, posiadający pozwolenia na polowanie, nie uważają go jako piękny sport ale jako proceder zyskowny i polują po całych dniach, używając wszelkich sposobów dla tępienia zwierzyny.

Małopolska Wschodnia.

Ziemia Czortkowska.

Członkowie Towarzystwa myśliwskiego z siedzibą w Czortkowie brali udział bądź zbiorowo bądź pojedyńczo w następujących polowaniach odbytych w jesieni i zimie 1923/24 r.

D. 13.X w Dawidkowcach, Kociołki, 8 strzelb, 8 zajęcy.

D. 20.X Szmańkowce, Kociołki, 12 strzelb, 11 zajęcy i 1 pies.

D. 27.X w Żwiniaczu, Kociołki, 13 strzelb, 9 zajęcy, 1 lis, 1 cyranka.

D. 6.XI w Kłaszkowcach, Kociołki, 10 strzelb, 56 zajęcy.

D. 24.XI w Białej, Kociołkowo, 11 strzelb, 10 zajęcy i 1 pies.

D. 15.XII Garłowiec—Browary, leśne, 11 strzelb, 7 zajęcy. 15 dzików uszło.

D. 20.XII w Białej las Puchła, 17 strzelb, 23 zające.

D. 24.XII Czarny las Wygnanka, 12 strzelb, 72 zające.

D. 24.XII w Jabłonowie, 5 strzelb, 21 zajęcy.

D. 29.XII w Szmańkowczykach, 8 strzelb, 42 zające.

D. 5.I w Szmańkowcach, leśne, 15 strzelb, 1 kozioł, 1 lis, 27 zajęcy.

D. 10.I Czarny las — Wygnanka, 16 strzelb, 38 zajęcy.

D. 12.I Bielawina—Jagielnica, leśne, 22 strzelb, 113 zajęcy.

D. 15, 16, 17 i 18.I w Skale, leśne, przeciętnie 12 strzelb, cały rozkład 253 zajęcy.

D. 18.I Kolędziany, leśne, 7 strzelb, 2 dziki, 32 zające.

D. 21.I Halileja — Jagielnica, 28 strzelb, 1 lis, 263 zajęcy.

D. 22.I Zalesie, leśne, 18 strzelb, 95 zajęcy.

D. 23.I Halileja II część, 25 strzelb, 1 rogacz, 134 zajęcy.

D. 25.I Zwiniacz, leśne, 18 strzelb, 21 zajęcy.

D. 26.I Wierzbowiec, leśne, 21 strzelb, 44 zajęcy.

D. 28.I Husiatyn—Grabnik, 8 strzelb, 74 zajęcy.

D. 28.I Byczkowce, leśne, 14 strzelb, 31 zajęcy i 1 puhacz.

D. 29.I Halileja III część, leśne, 11 strzelb, 32 zajęcy.

D. 29.I Hadynkowce, leśne, 15 strzelb, 76 zajęcy.

D. 30.I Dawidkowce, leśne, 10 strzelb, 50 zajęcy.

D. 30.I Kalinowszczyzna, leśne, 10 strzelb, 1 kozioł i 17 zajęcy.

D. 31.I Bielawina II część, leśne. 14 strzelb, 63 zajęcy.

D. 31. Kopyczyniec, leśne, 12 strzelb, 60 zajęcy.

W porównaniu z rokiem zeszłym, zwierzostan znacznie się poprawił — szczególnie co do sarn.

Janusz Trz.,
sekr. Tow. myśl. w Czortkowie.

Ziemia Złoczowska.

Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie (Małopolska) istniejące już 36 rok, liczące obecnie 34 członków, a dzierżawiące prawo polowania w 17 gminach powiatu złoczowskiego — urządziło w ubiegłym sezonie 10 polowań gremialnych a to:

6.X 1923 Stadnia, 16 strzelb, 57 zajęcy.

13 X 1923 Poczapy—pola, 17 strzelb, 33 zajęcy.

20.X 1923 Sassów—pola, 19 strzelb, 36 zajęcy, 1 słonka.

27.X 1923 Olszanica, 6 strzelb, 44 zajęcy.

3.XI 1923 Żuków — las, 15 strzelb, 17 zajęcy, 1 słonka i 1 lis.

17.XI 1923 Żuków—pola, 5 strzelb, 20 zajęcy.

1.XII 1923 Nowosiółki, 6 strzelb, 12 zajęcy.

24.XII 1923 Boniszyn—las, 9 strzelb, 16 zajęcy.

18.I 1924 Sassów— Zazule — pola, 6 strzelb, 15 zajęcy.

31.I 1924 Sassów—las' 14 strzelb, 10 zajęcy.

Nadto w kilku gminach polowali członkowie Towarzystwa w listopadzie w pojedynkę na zające; ponieważ jednak niektórzy oddawali się temu polowaniu z całą namiętnością, wydział Towarzystwa troskliwy o dobro zwierzostanu, zamknął z końcem listopada polowanie w pojedynkę na zające, na całem terytorjum Towarzystwa.

Licząc zabite zające w pojedynkę na 700—800 sztuk, a na polowaniach gremialnych 260, należy przyjąć, że na całem terytorjum Towarzystwa padło około 1000 zajęcy w ubiegłym sezonie.

Stan kuropatw poprawił się bardzo; w każdej niemal gminie w jesieni były już bodaj dwa — trzy stadka.

Kaczek od 2 lat pokazuje się u nas bardzo mało, a taksamo jest i z przepiórkami. Kszyków również od kilku lat spotyka się niewiele. Natomiast chruścieli mamy bez liku, a w drugiej połowie lipca skonstatowałem niebywały nalot dubeltów.

W lasach zaczynają się pokazywać sarny, ale jeszcze kilka lat na nie, tak jak i na kuropatwy polować nie będzie można.

Dzików w ubiegłym sezonie nie spotkano na żadnem polowaniu; nie zgłoszono też w jesieni żadnych szkód dziczych —jak to bywało w poprzednich latach—z czego wnosić można, że stan dzików musiał ogromnie zmaleć.

Kazimierz Ansion, prezes Tow. Łow.

Kresy Wschodnie.

Dnia 3 lutego w lasach Wiszniewskich pow. Lidzkiego polowało w 24 strzelby Wojskowe Towarzystwo Łowieckie. Z powodu zamieci śnieżnej i głębokiego śniegu polowanie nie dało zadawalniających wyników. Padło wszystkiego 5 dzików. Pod nieobecność Łowczego T-wa ppułkownika Kamińskiego polowaniem kierował wzorowo pułkownik Przeździecki.

Krzemieński, generał brygady.

W Katarynowie odbyło się dnia 21.XII r. z. polowanie w 8 strzelb, na którem zabito 93 zające i 8 lisów. Okoliczny zwierzostan dobry. Cietrzewi, kuropatw, pardw i głuszców więcej teraz na Kresach, niż przed wojną. Lisów moc, zwłaszcza w dawnych okopach. W styczniu jednego dnia zabiłem z podjazdu 4 lisy. W lecie r. z. na łowisku naszem widziano niedźwiedzia. Brak jakiegokolwiek Kołka Łowieckiego, któreby ujęło w swe ręce opiekę nad zwierzyną.

W. Strzemiński, nauczyciel szk. pow.

RYBOŁÓWSTWO.

Stan prawny w zakresie rybactwa na ziemiach polskich.

Obecnie obowiązują na ziemiach polskich następujące przepisy prawne w zakresie rybactwa:

a) Ustawa rybacka z dnia 11/V 1916 r. (Zb. Ust. prus. str. 55 z wydanemi do niej rozporządzeniami.

b) 1. Austrjacka ustawa ramowa z 25/IV 1885 r. (R. G. B. Nr. 58).

2. Ustawa o rybołówstwie z 31/X 1887 r. Dz. U. kr. Nr. 37 z 1890 r. i wydane na jej podstawie rozporządzenia.

3. Węgierska ustawa rybacka z 1888.

c) 1. Odnośne przepisy kodeksu Napoleońsk.

2. Odnośne przepisy kodeksu karnego z 22/3. 1903. (Dz. Ust. i rozp. poz. 416).

3. Ukaz o uwłaszczeniu z r. 1884 Dz. pr. Nr. 187 zb. pr. poz. 16 str. 21.

4. Ukaz o zmianie stosunków dominikalnych w miastach z r. 1866 Dz. pr. Nr. 216 zb. pr. tom. 66 art. 19 str. 37.

5. Uchwały komisji dla spraw Król. Polsk. z 7/II 1880 r.

d) Różne statuty Królów Polskich (np. statut Króla Kazimierza Jagiellończyka z r. 1447 regulujący stosunki na Wiśle).

Ustawy te są jakby ilustracją rozwoju historycznego pojęć prawnych do regulowania stosunków rybackich i różnią się nie tyle zasadniczem ujęciem poszczególnych kwestyj, ile zakresem swego ujmowania większej czy mniejszej ilości zagadnień.

Na najniższym szczeblu rozwoju prawodawstwa rybackiego na ziemiach polskich stoi b. zabór rosyjski, gdzie prawo określa tylko przynależność prawa rybołówstwa w rozmaitych wypadkach, kwestję powstawania prawa i użytkowania.

W b. zaborze austrjackim na tym poziomie stoi ogólna ustawa państwowa, lecz ponieważ poszczególne kraje otrzymały upoważnienie regulowania tych spraw widzimy, że ustawa galicyjska, a z nią inne wkraczają głęboko w stosunki rybackie i regulują kwestję ochrony rybołówstwa oraz kwestje przymusu gospodarczego.

W b. zaborze pruskim stan prawny odpowiednio do obecnego w b. zaborze austrjackim, uzupełniony ustawą rybacką z 30/V 1874 r. został zastąpiony w roku 1916 nową ustawą, która w rozwoju stosunków rybackich w tej dzielnicy oraz w rozwoju prawodawstwa i nauki rybackiej stała się tworem prawnym w zakresie rybactwa najbardziej doskonałym.

Wprowadza gospodarczo-rybacki podział objektów rybnych na kategorje, ustala dla każdej dokładny rygor w okresie władania i użytkowania tych wód dla celów rybactwa i reguluje stosunki między tymi a innymi rodzajami użytkowania.

Nie ogranicza ustawowo rewirów jako jednostek gospodarczych lecz dokładnie reguluje kwestje powstawania zrzeszeń do gospodarowania tych jednostek, przyczem aktywna mniejszość właścicieli praw rybołóstwa może narzucić swoją wolę większości.

Szczególnie wzorowo są uporządkowane te części ustawy, które nadają kompetencje władzom w zakresie regulowania stosunków gospodarczych — rozdziały odnoszące się do ochrony rybołóstwa i władz rybackich, jako wykonawców tej ochrony.

Przy ułożeniu ogólnej ustawy rybackiej koniecznem jest brać wszystkie powyższe przepisy pod uwagę i liczyć się ze stanem prawnym, jaki obowiązuje tak samo, jak ze stanem faktycznym który wymaga uzupełnień. Różnice w stanie prawnym i stanie faktycznym, jakie panują w 3-ch zaborach uniemożliwiają wprowadzenie w najbliższym czasie jednolitej ustawy ogólnej, tembardziej że wiadomości o stanie faktycznym w b. zaborze rosyjskim dopiero teraz zaczyna się gromadzić.

Najbardziej daje się odczuwać brak na ziemi b. zaboru rosyjskiego racjonalnej ochrony rybostanu oraz zagmatwanie stosunków prawnych wobec istnienia serwitutów. Jedno i drugie jest przeszkodą przy planowaniu ewentualnej akcji podniesienia produkcji rybnej i zaprowadzenia bardziej racjonalnych sposobów użytkowania. W obecnych warunkach pogłębia się dążenie do niszczenia bogactw rybnych i wody jałowieją wobec braku przepisów, któremi można byłoby dotychczasową rabunkową gospodarkę uzdrowić.

Wobec tego, że przepisy ochronne są najbardziej dojrzałą częścią prawodawstwa rybackiego i w rozmaitych krajach nie różnią się od siebie, zdaje się być wskazanem ten dział prawa rybnego wydać jako osobną ustawę w najbliższym czasie, przyczem jednakże przepisami w tym zakresie byłyby objęte wszystkie ziemie polskie.

Tembardziej to jest koniecznem, że kwestje dotyczące prawa rybołówstwa są uregulowane w 2-ch dzielnicach, a w trzeciej mogą być uregulowane dopiero po szczegółowem zbadaniu stosunków faktycznych i starannem opracowaniu projektu uregulowania, mającego na widoku nie tylko stan faktyczny i potrzeby w tej dzielnicy, lecz też stan w 2-ch innych dzielnicach w każdej odmienny oraz przyszły jednolity sposób uregulowania we wszystkich 3-ch dzielnicach. Może to nastąpić najprędzej po 2-ch latach energicznej pracy.

Wreszcie 3-ci główny dział prawa rybackiego t. j. przepisy o przymusie zagospodarowania wód,— uregulowany też w b. dz. pr. i w Galicji w każdej odmienny sposób — stanie się dla 3-ciej dzielnicy (rosyjska) aktualnym dopiero po wprowadzeniu przepisów poprzednich 2-ch działów.

Z tego wynika, że praca w zakresie wydania ogólnej ustawy rybackiej winna być rozdzieloną na kilka etapów.

W pierwszym rzędzie koniecznem jest wydanie przepisów dla b. dzielnicy rosyjskiej w zakresie ochrony rybołówstwa, co może być połączone z wydaniem ogólnej ustawy w tym zakresie z uchyleniem poszczególnych przepisów dotychczasowych ustaw. Właśnie niniejszy projekt ustawy ma to zadanie wypełnić.

Następnie najbardziej pilną kwestją byłoby wydanie ustawy określającej prawo rybołówstwa i jego użytkowania w b. dzielnicy rosyjskiej. Potem przygotowanoby ustawę o zagospodarowaniu wód w któ-

rej byłyby uwzględnione różnice gospodarcze poszczególnych dzielnic.

W końcu dopiero można będzie opracować ogólną ustawę o rybołówstwie, która zunifikowałyby, o ile to będzie możliwe, stosunki prawne we wszyst. dzielnicach.

Wobec tego obecnie opracowywana ustawa rybacka nie zawiera definicji prawa rybołówstwa, pozostawiając narazie przepisy odnośnych ustaw, a ustanawia wyłącznie jednolite normy w zakresie ochrony rybołówstwa. *Józef Borowik.*

DZIAŁ URZĘDOWY.

Sprawozdanie z rybołówstwa morskiego za miesiąc lipiec 1923 roku.

Ilość rybaków	Ilość łodzi motorowych	Ilość łodzi niemotor	1) Ilość ryb złowionych w kilogramach 2) Cena w markach polskich za kilogram: Łosoś	Węgorz	Flądra	Śledź	Inne gatunki ryb	Ogólna ilość złowionych ryb w kilogramach	Ogólna wartość połowu w markach polskich
1.237	94	254	1) 235	9.450	109.200	10.000	47.580	176.530	1.103 250.000
			2) 30.000	18.000	4 000	3.500	od 5.000 do 20.000		

Sprawozdanie z rybołówstwa morskiego za miesiąc sierpień 1923 roku.

Ilość rybaków	Ilość łodzi motorowych	Ilość łodzi niemotor.	1) Ilość ryb złowionych w kilogramach 2) Cena w markach polskich za kilogram: Łosoś	Węgorz	Flądra	Śledź	Szproty sielawki	Inne gatunki ryb	Ogólna ilość złowionych ryb w kg.	Ogólna wartość połowu w markach polskich
1.131	50	201	1) 325	3 575	91.795	370	400	64.987	167.452	3.486.370.000
			2) 80.000	60.000	18.000	22.000	600	od 4.000 do 30.000		

Sprawozdanie z rybołówstwa morskiego za listopad 1923 r.

Ilość rybaków	Ilość śledzi z silnikiem	Ilość śledzi bez	Ilość ryb złowionych w kg. Cena w markach polsk. za klg.: Łosoś	Węgorz	Flądra	Śledź	Szproty	Inne gatunki ryb	Ogólna ilość złowionych ryb	Ogólna wartość w mkp.
1 087	78	280	964	3.910	18.800	40.465	84.160	26 626	174 924	16.933.100
			1000000	400.000	120.000	100 000	60.000			

Rybołówstwo morskie w grudniu 1923 r.

Połowy: Ilość rybaków	Ilość łodzi z silnikiem	Ilość łodzi bez silnika	Ilość ryb złowionych w klg.: Łosoś	Węgorz	Flądra	Śledź	Szproty	Inne gatunki ryb	Ogólna ilość złowionych ryb w klg.	Ogólna wartość połowu w tysiącach mk. p.
1078	74	201	2200	2580	10270	130600	67140	13480	226270	49.392.000
			Cena w tysiącach marek polskich							
			4000	1500	500	200	100	80—900		

Stan rybołówstwa.

Ogólne połowy ryb w miesiącu grudniu były naogół niewielkie i w porównaniu z wynikiem połowów w grudniu 1922 r. przedstawiają zaledwie 1/4 część. Przyczyną tego była niesprzyjająca do wykonywania rybołówstwa pogoda. W okresie tym najwięcej złowiono śledzi i szprotów, które zjawiły się licznie w zatoce Gdańskiej. Począwszy od 20 grudnia połowy zmniejszyły się znacznie, gdyż mrozy i lód dość często przeszkadzały rybakom w wystawianiu sieci. Połów łososi na Bałtyku był nieznaczny, również złowiono niewielką ilość troci około Rewy. W zatoce Puckiej rybacy uprawiali z lodu połowy węgorza przy pomocy ości.

W końcu grudnia zamarzły wszystkie porty, przez co uniemożliwiony został wyjazd kurtów rybackich na połowy.

Przemysł rybacki: Czynnych 23 wędzarnie.

Straty rybaków: Burze zniszczyły 2 niewody wraz z linami o wartości około 250.000.000 mk.

ERRATA.

W atykule p. Kaz. Ansiona, prezesa Złoczowskiego Towarzystwa Łowieckiego p. t. „Uwagi o projekcie ustawy łowieckiej" wkradła się pomyłka:

Art. 62 p. b. brzmi: „nie wolno polować na cudzym gruncie bez pisemnego zezwolenia właściciela lub dzierżawcy polowania". A contrario więc *na własnym* gruncie wolno każdemu polować. Tak być nie może, gdyż ten jeden przepis zadałby łowiectwu cios śmiertelny. Autor chciał powiedzieć „że w cudzym okręgu łowieckim (a nie w „całym" jak mylnie wydrukowano) „nie wolno polować bez zezwolenia".

W sprawie konkursu myśliwskiego.

P. Jan Grabowski prosi nas o zaznaczenie, iż nie brał udziału w rozstrzygnięciu konkursu myśliwskiego „Przeglądu Myśliwskiego i Łow. Polskiego" tylko z powodu dłuższej nieobecności w tym czasie w Warszawie.

OFIARY.

Na Olimpijski Fundusz Strzelecki.

Na polowaniu u p. p. Balaźsów w Porudnie zebrało grono myśliwych 8 miljonów mkp.